



Daniel Ostrowski "I prawie już nie ma białych Francuzów"

Fahrenheit Crew

Występujące w tekście szczątki i kawałki przepisów kulinarnych stanowią radosny wymysł autora. Czytelników prosi się o zaniechanie prób ich stosowania i ostrzega, że czynić to mogą wyłącznie na własną odpowiedzialność.

PS. To o plackach ziemniaczanych z żółtym serem jest akurat prawdziwe, polecam.

Jestem mężczyzną wyemancypowanym.

Zaraz, zaraz, człowieku, o czym ty gadasz? W naszej rzeczywistości, kulturze, to mężczyźni byli i są płcią dominującą, uzurpującą sobie prawo do decydowania w zasadzie o wszystkim. To kobiety startują z gorszej pozycji i mimo wielu sukcesów nadal są gorzej traktowane. To kobiety dążą do równości płci, do zajęcia należnego im miejsca w historii, w społeczeństwie, w świecie. To kobiety mogą być wyemancypowane, nie mężczyźni!

A mimo to jestem mężczyzną wyemancypowanym. To znaczy – jestem mężem kobiety wyemancypowanej. Wszystko jasne?

Oczywiście to nie jest najprawdziwsza prawda. Feminizm mojej Gośki ściśle związany jest z obowiązkami domowymi. W skrytości ducha zawsze podejrzewałem, że nader chętnie zrezygnowałaby z pracy zarobkowej i pozwoliła pochłonąć gospodarstwu domowemu, gdybym tylko zdołał sam utrzymać naszą rodzinę na zadowalającym poziomie, pozwalającym w szczególności na urzeczywistnienie jej marzeń. W tym, co chyba najważniejsze, na regularne podróżowanie do mekki jej snów i fantazji – Francji. Ale zawód i praca nie dają mi takich możliwości. Wspólnie zarabiamy na nasze utrzymanie i wspólnie zajmujemy się domem. A to jest zarzewie konfliktów, przy którym, nawet przy mej wrodzonej ustępliwości, Bliski Wschód jest oaza spokoju.

Jestem więc mężczyzną wyemancypowanym, w każdym razie lubię tak o sobie myśleć, biorąc pod uwagę najzupełniej normalną skalę zjawisk zachodzącą w moim małżeństwie.

I przecież trzeba na coś zrzucić winę za to, że nasza cywilizacja stanęła na krawędzi zagłady, nieprawdaż?

Zacząłem od lepienia pierogów. Takich zwykłych, ruskich. Walczyłem właśnie na froncie farszu i z rosnącą irytacją próbowałem go wymieszać i przyprawić tak, by smakował choćby tylko znośnie, czując coraz większy lęk przed lepieniem. Które, jak powszechnie wiadomo, jest w pierogach tak ich istotą, jak i największą zmurą wielu kucharzy, w tym sporej liczby początkujących w pierogarskim rzemiośle, z niżej podpisanym włącznie.

Lepienie pierogów było początkiem drugiego etapu mojej kariery domowego kucharza. Pierwszy był łatwy. Gdy po miesiącach mniej lub bardziej intensywnych kłótni i pretensji o prace domowe, o mój zbyt mały w nich udział – pretensji nieuzasadnionych, pozwalałam sobie zaznaczyć – moja małżonka postanowiła wreszcie zrealizować wcześniejsze groźby wprowadzenia rygorystycznego podziału

zadań, nie marudziłem specjalnie. Nie lubię sprzeczek i cichych dni, wolałem więc dostosować się, płacąc tym samym za upragniony i z dawna wyczekiwany spokój.

Tak, tak, byłem pantoflarzem, i to przez duże P. Nie takim, który tak sobie zwyczajnie realizuje dyspozycje małżonki, czyli robi, co ona mu każe. I nie dlatego, że on jest taki układny i spolegliwy, iż żonine przekonania o słuszności takiego postępowania wnet przyjmuje za własne. Tego zresztą, szczerze mówiąc, nie uważam za pantoflarstwo. To jest najzwyczajniejsza kolej rzeczy, kwintesencja małżeństwa i, nie boję się tego powiedzieć, sto procent tego, co facet może i powinien zrobić dla szczęśliwości stadła. Norma, znaczy się. O nie, prawdziwe pantoflarstwo to coś więcej! Prawdziwy pantoflarz robi to, czego chce żona, ZANIM ona zdąży swe pragnienia zwerbalizować! I robi to, mając pełne przekonanie o słuszności swych, przeciwnych małżonce, racji. A jego motywacją nie jest chęć zgodnego postępowania, tylko pragnienie uniknięcia marudzenia, jojczenia, męczenia, pretensji, pitolenia, warczenia, smętkowania i cichych dni. Które zwykle, wbrew nazwie, wcale takie ciche nie są.

To właśnie ja, kwintesencja pantoflarza. I właśnie miałem przejąć obowiązki związane z przygotowywaniem posiłków.

Miało to, oczywiście, swoje plusy. Musicie wiedzieć, że moja szanowna małżonka jest sprzątaczką. Nie z zawodu, po prostu jako kobieta reprezentuje ten typ charakteru. Mam otóż teorię, że kobiety dzielą się na kucharki i sprzątaczkę. Nie znaczy to, że muszą lubić jedno, a drugiego nie, po prostu jedna z tych funkcji zawsze będzie miała prymat nad drugą; czy to, jako lubiana bardziej, czy to też, jako nielubiana mniej. Co ciekawe, wszelkie moje rozmowy z kobietami na ten temat zdecydowanie potwierdzają tę teorię. Moja żona zaś, od kiedy pamiętam, wielką wagę przywiązywała do czystości i porządku oraz do czynności zmierzających do ich utrzymania, zaś gotowanie traktowała różnie, zwykle lubiła, ale i zdarzało się jej przy tym irytować.

Układ więc, zdawałoby się, idealny. Żona przejmuje w całości sprzątanie, mnie pozostaje tylko kucharzenie, co powinno być mi na rękę, bo gdyby zastosować powyższą teorię do mężczyzn, to ja zdecydowanie jestem kucharzem. Niestety jednak mam spore zaległości w tej dziedzinie. Choć nieprawdą jest, że kobieta wysysa gotowanie z mlekiem matki, to jednak jakoś tak wcześniej się zwykle do tego zabiera. Wcześniej, oczywiście, porównując z mężczyznami, którzy w ogóle zaczęli, bo z tymi niegotującymi nie ma porównania. A to oni stanowią większość!

Moje pierwsze, nieśmiałe próby gotowania czegokolwiek datują się na dość już zaawansowany i nie tak dawny, etap mojego życia. Studiów nie liczę, bo życie w akademiku nauczyło mnie jedynie gotowania kaszy lub ryżu oraz sosu z torebki. Pierwsze poważne gotowania zaczęły się, gdy już mieszkaliśmy z moją ukochaną. A to sałatkę zrobić do obiadu, a to coś więcej: kotleciki mielone pod baczynym nadzorem przyszłej małżonki, schabowe, gulasz z kurczaka czy placki ziemniaczane z żółtym serem w ramach własnych eksperymentów kulinarnych. Udanych, dodam, co oczywiste, ale były też nieudane, że choćby wymienię placki ziemniaczane z tartą rzodkiewką, co wywołało reakcję pośrednią między niesmakiem a politowaniem. Był nawet taki okres, że małżonka z niejakim zadowoleniem stwierdzała, że na dwa tygodnie będzie się mogła z domu urwać, bo na tyle radzę sobie już w kuchni, że dzieci będą miały przez ten czas zróżnicowane obiady. Gdy już będziemy je mieć. Dzieci, znaczy się, nie obiady.

Gdy więc zostałem obarczony rolą kucharza, po początkowej obawie, czy dam radę codziennie po powrocie z pracy stanąć przed kuchenką i zapewnić ciepłe i smaczne obiady mojej rodzinie, byłem raczej spokojny. To i owo umiałem zrobić, w czym problem?

Nie doceniłem jednak mojej Gośki. Gdy, zapytany, zdradziłem jej planowany jadłospis na kolejne dni, przerwała mi raptownie i oznajmiła, że ograniczanie się do potraw, które już umiem ugotować, jest

absolutnie wykluczone. Że mam się uczyć nowych. I że najdalej za tydzień życzy sobie zjeść na obiad ruskie pierogi.

O zgrozo!

Toż nawet ona sama nie opanowała nigdy technologii kuchennej na tyle, by własnoręcznie wyprodukować to przednie danie. Kim jestem ja, marny, bym miał gotować rzeczy, których ona sama bała się zrobić? Byłem kompletnie załamany. To uczucie towarzyszyło mi u początków drugiego etapu kariery domowego kucharza.

W ten właśnie sposób ludzkość znalazła się o krok od eksterminacji.

Próby odpowiedniego doprowadzenia farszu spełzały na niczym. Instynktownie wyczuwając, że stosowane do tej pory metody przyprawiania (sól, pieprz, papryka, pieprz ziołowy, mieszanka przypraw z torebki, moje ulubione zioła prowansalskie i co się jeszcze da) upodobią za bardzo pierogi do mych dotychczasowych wytworów kuchennych i nie znajdą aprobaty małżonki, postanowiłem być oszczędniejszy i przyprawiać spokojnie i stopniowo. A farsz wciąż był mdły i nijaki.

Po pewnym czasie zacząłem wręcz traktować te próby jak męczarnię i szczerze zastanawiać się, czy nie byłoby jednak lepiej zrezygnować z gotowania i przejąć sprzątanie. Znając moje zamiłowanie do porządków, musiałem być już bardzo zdesperowany. I wtedy wydarzyło się coś dziwnego.

W natłoku niewesołych, nie oszukujmy się – prawie samobójczych myśli pojawiła się znienacka myśl innego rodzaju. Jakaś taka świeża, o odmiennej tonacji i temperaturze. Trudno się było oprzeć wrażeniu, że była... zewnętrzna.

Myśl ta jasno i wyraźnie mówiła: dodaj oregano.

Noż cholera, jakie oregano? Przecież to nie pizza. Przecież to nie włoskie danie! I skąd ta myśl? Natchnienie nigdy mi się w ten sposób nie objawiało, zwłaszcza w sprawach kulinarnych. Nawet pomyśl o dodaniu żółtego sera do masy na placki ziemniaczane, wbrew temu, co powiedziałem żonie, wyczytałem w książce kucharskiej poświęconej potrawom z ziemniaków. Więc skąd to natchnienie?

A diabli tam, pomyślałem sobie, i tak niespecjalnie mi to idzie, spróbujemy. Sypnąłem więc od serca oregano, zmieszałem, dodałem jeszcze dla pewności soli i pieprzu i spróbowałem. Hmmm, inne, ale... dobre!

Cóż mogę dodać? Obiad był wielkim sukcesem. Na rewelacyjną ocenę małżonki nie wpłynął nawet fakt, że wiele pierogów, delikatnie mówiąc, rozpadało się. Pochwałą nie było końca, zaś wynikający z tego dobry humor żony sprawił, że za moje kulinarne wysiłki nagrodzony zostałem też w inny, o wiele przyjemniejszy sposób. Puszczam teraz oko, jasne?

Dwa dni później, wciąż płynąc na fali żoninego zadowolenia, dostałem pozwolenie na zrobienie schabowych. Poprosiła tylko, bym zrobił je w trochę inny niż dotychczas sposób. Konceptji specjalnej nie miałem, dwie znane mi dotąd metody – w panierce i bez – wykorzystałem w ubiegłych dwóch tygodniach, ale słowo się rzekło. Pomyślałem tylko, że spróbuję jakoś inaczej przyprawić i będzie dobrze.

Niestety, nie udało mi się wymyślić, coś takiego dodać, by moja świnina była lepsza. Znacznie się

tym zmartwiłem, nie ukrywam, bo przecież pierogi już wyrobiły w mojej małżonce pewne oczekiwania, bardzo nie chciałem powielać dotychczasowych, przyziemnych, jak teraz o nich myślałem, schematów. I cóż zrobić?

Gdy w niewesołym nastroju zabierałem się za smażenie kotletów przyprawionych po staremu – dodam – znów pojawiła się ta inna, świeża myśl. Mówiła: podsmaż jak do tej pory, a potem podduś na winie.

Znalazłem w lodówce pół butelki rieslinga i po solidnym obsmażeniu kotletów podlałem je obficie. Dochodziły w tej zalewie jeszcze z pół godzinki, nabierając powoli smakowitego, wytrawnego aromatu. Pochwałam znów nie było końca, dołączyła też do nich teściowa. Mieszkała z nami, czy właściwie my mieszkaliśmy z moimi teściami, więc zdarzało się nam nawzajem częstować gotowymi daniami. Przy czym częściej coś dostawaliśmy niż dawaliśmy, nie ma co ukrywać.

W kolejnym dniu natchniona myśl pojawiła się, gdy robiłem zakupy. Podpowiedziała nabycie octu winnego do przyprawiania sałatek. Kolejny sukces.

Prawdę mówiąc, to ładnych parę tygodni trwały te sukcesy, a natchnienie pojawiało się bardzo regularnie, co najmniej raz na dwa dni. Zdążyłem się już nawet do nich przyzwyczaić, uznałem wręcz, że najwidoczniej okazałem się skrytym talentem, nieodkrytym dotąd geniuszem kulinarnym. Choć początkowo sprawiało to wrażenie obcej ingerencji, uwierzyłem, że to ja sam wymyślam te pyszności. Ot, podświadomość do mnie gada albo coś w ten deseń. Okazało się jednak, że pierwsze wrażenie mnie nie myliło...

Gdy pewnego dnia wszedłem do kuchni, główkując nad tym, jak w najlepszy sposób zutylizować czekającą na mnie w lodówce cielęcinę, ujrzałem stojącego na kuchennym stole szczura. Wielkiego jak cholera! Nie myśląc specjalnie nad tym, skąd u nas w domu szczur, skoro nigdy ich nie było, jednym ruchem otworzyłem szufladę pod kuchenką, drugim porwałem największą patelnię, trzecim zamierzyłem się i... Szczur pisnął coś wysokim tonem. Wstrzymałem cios. Nie dlatego, że skulił się w przerażeniu, o nie. Zatrzymałem się w pół ruchu, bo zauważyłem wreszcie, że ten szczur stoi niczym człowiek, w pozycji wyprostowanej – i co więcej – jest ubrany! I w ogóle jest taki, cokolwiek jak na szczura, niewymiarowy. Spory, ze czterdzieści centymetrów z okładem i to nie licząc ogona. Wiem, że gdzieś tam na świecie żyją takie szczury, ale chyba nie u nas?! Polska to nie Indie, proszę państwa! W dodatku proporcje budowy, zwłaszcza tułowia i kończyn, zupełnie inne niż u zwyczajnych gryzoni. I to ubranie...

Szczur zreflektował się po chwili i wyprostował. Przez momencik spoglądał na mnie spode łba, groźnie, ale już po chwili rozciągnął pyszczek w dzikiej parodii najprawdziwszego ludzkiego uśmiechu.

– I tak byś mi nic nie zrobił – rzekł. – Jestem tylko projekcją. Ty dla mnie zresztą też. Choć muszę przyznać – rzucił nieco strachliwe spojrzenie na ciągle wzniesioną patelnię – że bardzo realistyczną.

Odłożyłem patelnię do szuflady, nalałem sobie szklanek wody i wyduldałem ją duszkiem, wciąż zwrócony plecami do stołu i... tego czegoś. Oświeciła mnie genialna myśl. Mam halucynacje! Tylko skąd, u diabła? Nic nie zażywałem, nic nie piłem. Więc skąd? Wiem – muszę mieć raka! Mam guza w mózgu, stąd te genialne pomysły kulinarne i gadający szczur w kuchni. Czytałem gdzieś o takich sprawach. Facet może mieć raczysko w zwojach i wciąż czuć zapach palonych piór. Albo widzieć coś, czego nie ma. A ten film z Travoltą? No właśnie. To jest to! Zwróciłem się ku zwierzakowi w zdrowym przekonaniu, że teraz, gdy zidentyfikowałem już źródło problemu i sklasyfikowałem go jako

wykwit udręczonego chorobą mózgu, zniknie.

Szczur nadal stał na stole i patrzył na mnie z, rękę dam sobie uciąć, kpiącym wyrazem pyszczka.

- Stary, wiem, że będzie ciężko, ale załatwmy to od razu, dobra? - Przysiadł na stole w dziwacznej pozycji, ni to wyprostowany, ni to w kucki, i kontynuował. - Jestem przedstawicielem obcej rasy. Oglądamy i zwiedzamy sobie waszą planetę. Badamy, należałoby rzec.

Kuźwa, toż on gada do mnie po polsku! Guz! Muszę iść do lekarza!

- To nawiasem mówiąc dość kuriozalne, że ty, jako przedstawiciel społeczeństwa tak zajadle produkującego rozmaite opowieści... jak wy to mówicie? O, mam, science-fiction! I to w sporej mierze o spotkaniach z innymi rasami. Pozaziemskimi! I ty nie możesz dać wiary, że spotykasz właśnie kogoś takiego? A może ty należysz do tych, którzy uważają takie pomysły za dziecinadę?

- Lubię science-fiction - odburknąłem.

- No i sam widzisz! I nie możesz przyjąć, że masz do czynienia z inteligencją pozaziemską? Czy to tak trudno zrozumieć? Przecież możesz sobie łatwo wyobrazić, a nawet wydedukować, że skoro przybywamy na waszą planetę bez wrogich zamiarów, musimy się najpierw upewnić, czy wy takowych nie macie. Musimy przez pewien czas was poobserwować, poznać język, nauczyć się podstawowych funkcji i zwyczajów. Bez tego nie moglibyśmy się z wami porozumieć.

Fakt, lubię science-fiction. Powiem więcej, wierzę w to, co się w takiej literaturze opisuje. Wiele nowinek technicznych, które były wymysłem pisarzy pięć dekad temu, dziś są rzeczywistością. A nawet tam, gdzie technika być może nigdy nie doścignie poziomu, jaki wymarzył sobie pisarz, ciekawe jest obserwowanie ludzi zderzonych z zaawansowanymi warunkami życia, często wynaturzonymi i dla nas niewyobrażalnymi. Tylko, kurde, nawet w science-fiction jest więcej realizmu niż w siedzącym na moim stole szczurze, który tłumaczy mi, że właśnie odbębnia bliskie spotkanie trzeciego stopnia! Nie będzie mi tu gryzoń kitu wciskał!

- Tere-fere! - Ruszyłem do werbalnego kontrataku, zapominając na razie o teorii nowotworowej. - Przybywa sobie inteligencja pozaziemska o wyższym stopniu rozwoju na planetę Ziemia, bada ludzkość, uczy się języka, po czym wysyła przedstawiciela na rozmowę ze mną! Szarym pionkiem, elementem równie szarej masy ludzkiej! Gdybyście nas tak dobrze poznali, jak twierdzisz, to wiedzielibyście, że gadać trzeba z kimś ważnym. Z przywódcami, z rządami, z ministrami chociażby!

- No fakt, tu mnie masz. - Szczur zasępił się nieco, ale zaraz z powrotem pogodnie się uśmiechnął. - Tylko widzisz, ja tu do ciebie wpadłem... nieoficjalnie. Nie jestem naukowcem ani przywódcą naszej wyprawy ani specem od komunikacji. Jestem... kucharzem. Wiesz, jak to jest. - Skrzywił się i pomachał łapkami. - Wszyscy w terenie, latają po planecie tam i z powrotem, tylko dane spływają do komputerów. A ty siedz sam na statku i czekaj. To sobie pomyślałem, liznę trochę tych danych i pogadam z jakimś kumatym tubylcem. I tak trafiłem do ciebie.

- A czym wytłumaczysz, że spośród kilku miliardów ludzi właśnie ja doznałem zaszczytu porozmawiania z tobą?

Szczur znacząco wskazał na starego i nieczynnego grundiga. Magnetofon szpulowy był zepsuty, a radioodbiornik tak haniebnie rozstrojony, że nawet nie podłączałem go do prądu. Ale wyglądał rewelacyjnie, wiadomo, te stare grundigi miały naprawdę fajny dizajn, no i że byłem bardzo do niego przywiązany, to stał sobie na kuchennej półce jako ozdoba, a prawdziwe radyjko stało za nim. A ja, włączając radio, udawałem, że nadal słucham grundiga. Wiem, wiem, jestem pokopany - żona mi to cały czas powtarza.

Tknięty dziwną myślą zajrzałem za mój skarb. Kabel, zwykle niedbale zwinięty przy tylnej ścianie, zniknął w wywierconym w płycie kuchennej szafki otworze, razem z bliźniaczym przewodem od ukrytego za grundigiem tajwańskiego radia. Zerknąłem jeszcze w szparę przy ścianie... Tak, obie wtyczki tkwiły w gniazdku. Widać Gocha podłączyła przy sprzątanu. Ona naprawdę nie lubiła nieporządku.

- Ten... to twoje radio silnie reaguje na nasze sygnały. W sposób bardzo wyraźny dla naszego sprzętu. Komputer zaraportował, przyjrzałem się... zobaczyłem, jak się męczysz z gotowaniem i trochę ci pomogłem. Telepatia. Tylko wiesz, takie wsadzanie myśli do waszych umysłów to rzecz bardzo skomplikowana i energożerna, przekaz holograficzny jest o wiele ekonomiczniejszy, więc pomyślałem, że wpadnę, przedstawię się i pogadamy. I może ci jeszcze sprzedam parę patentów na dobre żarcie.

Bingo! Szczur kosmita podpowiada mi, ba, uczy mnie gotować! I wszystko jasne!

- A co ty możesz, kurna, wiedzieć o naszym gotowaniu?

- A to akurat prosta sprawa. - Machnął lekceważąco ręką... czy łapką właściwie. - Po pierwsze, zdziwiłbyś się, jak zbliżone są nasze układy trawienne. Jemy praktycznie to samo i mamy bardzo podobne przyprawy. I gusta też! Po drugie, mam mnóstwo danych o waszej kuchni, moi kumple krążą po waszej planecie od paru miesięcy. Akurat na obserwację tak banalnych rzeczy, jak wasze gotowanie, nie mają czasu, ale podpięliśmy się do masy baz danych, no i do tej waszej sieci... Internetu, tak? Materiału mam mnóstwo, a nudząc się tutaj, w statku, wolę sobie poczytać o tym, na czym się znam. A po trzecie właśnie - jestem kucharzem! Może nie najlepszym, ale całkiem niezłym. W każdym razie - na pewno lepszym od ciebie.

Szczur patrzył na mnie znacząco. I zachęcająco. Klapnąłem ciężko na kuchennym krześle i oparłem łokcie na stole. Zawsze myślałem, że ktoś tam w górze musi być oprócz nas, że kiedyś pewnie uda się nam skontaktować. Ale właśnie ja, osobiście? Byłem rozbity i nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć. No i czy mam temu gryzoniowi wierzyć? Czy jednak udać się do lekarza. Też niezbyt zachęcająca perspektywa, znając naszą służbę zdrowia.

- No dobra, stary, czas ucieka! - Mój gość zerwał się na równe nogi i zatarł z niecierpliwością łapki. - Co dzisiaj gotujemy? Co tam masz w lodówce?

- Cielęcinę...

- A co chciałeś z tym zrobić?

- Bitki jakieś...

- O nie, mój drogi. - Pokręcił głową z dezaprobatą i spojrzał na mnie surowo. - Nie marnujmy takiego dobrego mięska! Zrobisz pieczeń. Do roboty!

To się mogło tylko Monty Pythonom przyśnić. Ubrany w jakiś rodzaj spodenek i koszulki z krótkimi rękawami szczur o wzroście teriera biegał tam i z powrotem po szafkach kuchennych i po samej kuchence, wskazywał, doradzał i pomagał mi jak mógł. Muszę przyznać, że gdy pokonałem początkową niemoc i, nie ukrywam, również pewne obrzydzenie związane z obcowaniem ze sporym gryzoniem, współpraca układała się idealnie. I efekt też był bliski ideałowi.

Obiad był rewelacyjny, po prostu strzał w dziesiątkę. Co było tym większym sukcesem, że małżonka

znieńska przyholowała na wyżerkę jakiś znajomych z pracy.

Szczur odwiedzał mnie teraz całkiem często. Przedstawił się jako Bob i upierał się przy tym imieniu, tłumacząc, że jego prawdziwe imię jest czymś w rodzaju odpowiednika Roberta, zaś skrócona angielska forma, najbardziej mu odpowiada. Gotowaliśmy razem, co i rusz sięgając do nowych przepisów i pomysłów na ich wariacje. Pomysły Boba nieodmiennie były świetne. Nawet wtedy, gdy nie trafiały w gust Gośki, przyznawała, że smak nowych dań jest ciekawy. Ona sama pytała mnie oczywiście o źródła mego kulinarnego, odkrytego znieńskiego talentu, ale cóż mogłem jej powiedzieć, prawdę? Uśmiechałem się więc tajemniczo – i gotowałem dalej.

Trzeba przyznać, że gotowanie może być cholernie przyjemne, gdy budzi entuzjazm konsumentów. Rozsmakowałem się w tym, nigdy bym siebie nie podejrzewał o takie inklinacje. Rozbijałem się do tego stopnia, że nakupiłem mnóstwo utensyliów służących do gotowania coraz bardziej wymyślnych potraw. Rozszerzyłem też wachlarz propozycji w zakresie win pasujących do poszczególnych dań. W Internecie bywałem już praktycznie tylko po to, by szukać nowych, ekstrawaganckich pomysłów dla Boba. Potrafił poradzić sobie z każdym, a wiele z nich wzbogacał autorskimi aranżacjami. Nauczył mnie też trudnej sztuki robienia ciast! Gdy pierwszy raz zrobiłem francuskie ciastka, mojej małżonce po prostu szczęka opadła!

Nasze małżeństwo weszło na zupełnie nowe tory. To, co wydawało się już wypalać i powoli zmieniać w wygodny układ, zmieniło się w kwitnący związek. Nie było już mowy o pantoflarstwie, to był układ dwojga równoprawnych partnerów. Ja nie wtrącałem się w sprzątanie, z rzadka tylko pomagając, z własnej inicjatywy, przy składaniu prania czy prasowaniu, ona przestała wydawać mi dyspozycje kulinarne. Wiedziała, że kuchnia stała się moim królestwem i nie pozwalałem w niej nawet sprzątać. A Gośka... po prostu rozpywała się nade mną! Zapraszała znajomych na obiady i kolację coraz częściej i nie mogła się mnie przy nich nachwalić. W domu rodzinna atmosfera, czułość, wspólne wypadki. Seks, który wcześniej przechodził z fazy „raz na tydzień” w fazę „raz na miesiąc”, teraz zbliżał się coraz bardziej do magicznego „codziennie”. Złoty wiek po prostu.

W beczce miodu bywa i łyżka dziegciu. Coraz gorzej szło mi w pracy. Nie oszukując stwierdzam, że to zupełnie moja wina, bo nudnym obowiązkiem urzędnika poświęcałem zdecydowanie za mało uwagi, obmyślając w kółko, co nowego ugotować na kolejny obiad. Dzięki Bobowi nie tylko odnosiłem kolejne domowe sukcesy, ale też wzrastały moje umiejętności kulinarne. Skrzętnie zapisywałem sobie, tak w pamięci, jak i na papierze, kolejne udane przepisy, wraz z ich wzbogaceniami, które wnosili mój utalentowany gość. Zacząłem nawet się zastanawiać nad rzuceniem w diabły tej pracy i otwarciem własnej knajpy, w czym utwierdzały mnie uwagi znajomych żony, porównujące moją kuchnię do najlepszych restauracji. Gośka to się nawet zaczęła nabijać ze mnie, gdy się jej zwierzyłem z mych fantazji, że chyba ta pasja gotowania za bardzo zbliża się do stanu lekkiej szajby.

A dni płynęły.

Byłem już bardzo bliski decyzji o urzeczywistnieniu mych marzeń, gdy na jedną z proszonych kolacji znajomi mej małżonki przyholowali właściciela restauracji. Facet akurat nie miał żadnej fuchy, ale polecił mnie kumplowi, posiadającemu sieć (trzy knajpy, ale sieć!) włoskich restauracyjek. Gość mnie przyjął, kazał z miejsca ugotować spaghetti, lasagne i jakieś frutti di mare. Widać najbardziej chodliwe dla moich rodaków były wariacje tych trzech potraw. Patrzył mi na ręce, więc nie mogłem za bardzo liczyć na bezpośrednią pomoc Boba, ale tego i owego zdążyłem się już nauczyć. Krótko mówiąc, dostałem pracę. Zakończyłem sprawy z poprzednim pracodawcą, w ekspresowym tempie załatwiłem książeczkę zdrowia i niezbędne badania, i rozpocząłem karierę kucharza.

Przez miesiąc poszerzałem z pomocą Boba wiedzę o kuchni włoskiej. Gotowałem coraz lepiej i nawet pozwoliłem sobie lekko modyfikować restauracyjne menu, wprowadzając mniej znane w Polsce

włoskie kulinaria, a nawet pomysły z pogranicza: mieszanki kuchni włoskiej z francuską, albańską, grecką, a nawet arabską. Po miesiącu dostałem awans, z restauracyjki dalekiej od centrum szef przeniósł mnie do swojej głównej restauracji. Na wrocławskim rynku.

Wiedziałem już wtedy, że stała się rzecz niemożliwa. Że będąc w końcu nie tak dawno kulinarnym zerem, stałem się w tym świecie kimś. Tak nazwa restauracji, jak i moje nazwisko stawały się coraz głośniejsze. Gościom, na zwyczaj zagraniczny, coraz częściej zdarzało się prosić mnie do stolika, by komplementować moje dzieło i podziękować. I to często właśnie gościom z zagranicy.

Nie powiem, chciałem iść w tym fachu jeszcze wyżej. Póki co, nikomu jakoś nie przeszkadzało, że nie skończyłem żadnej szkoły, parę razy nawet usłyszałem dalekie acz wyraźne komentarze, że naturszczyki często są lepsi od szkolonych kuchmajstrów. Spytałem wtedy Boba, czy jest jeszcze coś, czego mógłbym się nauczyć, coś, co wprowadziłoby mnie na wyższy poziom kulinarny.

Szczur uśmieł się serdecznie.

- Stary, po co ci to?

- Jak to po co? Kto nie idzie naprzód, ten stoi w miejscu, a kto stoi w miejscu, ten się cofa. - Błysnąłem złotą myślą. - Pomyślałem... no wiesz, karierę zrobić. Nie od razu wielką, ale żebym chociaż zauważalny był.

- Przecież już jesteś. Śledzę, co się w mieście dzieje, buszuję po waszej sieci. Jesteś znany!

- Ale wiesz... - Nie popuszczałem, czując, że gryzoń ma jeszcze coś w zanadrzu. - Żeby chociaż być najlepszym kucharzem we Wrocławiu!

Ociągał się. W swoich, nie wiem czy prawdziwych, czy wystudiowanych reakcjach i gestach był niemal ludzki. Krzywił pysk, wzruszał ramionami, wodził wzrokiem po suficie. Całym ciałem mówił mi: „Dam ci coś, jak mnie jeszcze pomęczysz”.

- Technicznie jesteś najlepszy. Ale by uznawano cię za najlepszego... musi po prostu minąć parę lat. To nie jest kwestia umiejętności, a doświadczenia i obycia. I to ludzie muszą być z tobą zżyci. Zresztą, ja cię już niczego więcej nie nauczę.

- Słuchaj, Bob. Ja wiem, że ludziom smakuje to, co dzięki tobie gotuję, ale chciałbym, żeby szaleli za moim żarciem! Żeby przeżywali ekstazę! Żeby wychodząc z restauracji już myśleli o tym, kiedy przyjdą do niej znowu!

Dusił to w sobie, dusił. A ja wiedziałem, że tylko moment dzieli mnie od chwili, gdy wreszcie wydusi. Poznałem już dobrze to swoje szczurzyisko, był bardzo otwarty i bezpośredni. I lubił mnie drań.

- Dobra, powiem ci coś. Pewnie nie powinienem, bo to coś u was kompletnie nieznanego. Inne rzeczy mogłem ci dowolnie podpowiadać, bo to praktycznie u was wiedza mniej lub bardziej powszechna. To coś zupełnie nowego. Ale musisz mi obiecać...

Kiwałem skwapliwie głową. Byłem gotów diabłu duszę sprzedać, byle tylko moja kulinarna gwiazda błysnęła mocniej.

- Niedługo kończymy misję. Wrócimy na naszą planetę i będziemy analizować to, czegośmy się o was dowiedzieli. W tym czasie musisz sprawić, że to, co ode mnie dostaniesz, zostanie tutaj jak

najbardziej rozpowszechnione. Wtedy nikt nie będzie szukał źródła i nie posądzi mnie, rozumiesz?

- Ale co to jest?

Bob nabrał głęboko powietrza w płuca, rozejrzał się konspiracyjnie na boki, pewnie sprawdzał, czy go tam w jego kabinie nikt nie słyszy, i wypalił:

- Przyprawa!

- Znaczy się... coś jak pieprz?

- Tak, bardzo ogólnie. - Bob ściszył głos i pochylił się, zmuszając i mnie do pochylenia głowy. - To coś bardzo specjalnego! Przyprawa dobrze u nas znana, rewelacyjna! Zwiększa doznania smakowe przy praktycznie każdej potrawie. Proces wytwarzania jest bardzo skomplikowany, uzyskuje się ją z wielu składników, precyzyjnie odmierzonych. Ale jaki efekt! Kiedyś była u nas bardzo droga. Stary, nawet jedną wojnę mieliśmy o nią!

- A tak bardziej konkretnie?

- Hmmm. - Bob zamyślił się pocierając piąstkami głowę. - Tak dokładnie to ci nie powiem w tym momencie. Rosną u nas rośliny nieznane na Ziemi, w drugą stronę podobnie. Część składników będzie trzeba czymś zastąpić, ale czym... Będę musiał pogrzebać i przeanalizować trochę danych. Dasz mi tydzień?

Co miałem na to powiedzieć? Oczywiście. Szczur zniknął, a ja wróciłem do robienia kolacji.

I faktycznie, Bob zjawił się dokładnie tydzień później. Musiałem poczekać, aż małżonka wybędzie z domu, upewnić się, że nie wróci, i wreszcie byłem do jego dyspozycji. Załadował mi zdalnie instrukcję do pliku w laptopie i wyświetlił.

Składników było kilkadziesiąt. Wiele z nich to pospolite przyprawy znane w ziemskich kuchniach: pieprz, kardamon, cynamon, ziele angielskie czy korzeń żeń-szeń. Wiele innych to zwyczajne zioła i warzywa. Kilka było faktycznie dość rzadkich, ewidentnie wymagały sprowadzenia, choć tu Bob przewidział problemy i sprawdził ich dostępność w kraju i u naszych najbliższych sąsiadów. Kilka roślin było tak pospolitych, że w życiu bym nie podejrzewał, że mogą stanowić składnik takiej specprzyprawy.

- To kwestia zawartych w nich substancji - tłumaczył Bob. - Podobne występują w naszych roślinach, których na waszej planecie nie ma. Chodzi tylko o sposób, w jaki można je wyodrębnić.

Tu faktycznie tkwił największy szkopuł całej zabawy. Furda te składniki do obróbki, ale sama obróbka! Czego tam w tych instrukcjach nie było: moczenie, suszenie, warzenie, odparowywanie, rektyfikacja. Nawet parę działań z odczynnikami chemicznymi! I te rysunki aparatur niezbędnych do uzyskiwania poszczególnych substancji...

Trochę mnie to podłamało. Nie sądziłem, że takich skomplikowanych działań z mojej strony będzie wymagać jakaś tam przyprawa. Szczur był nastawiony o wiele bardziej optymistycznie.

- Pomogę ci. Trochę już pogrzebałem i namierzyłem. Damy radę, wierz mi - warto! Potrzebujemy tylko miejsca, gdzie będziemy poza widokiem twojej żony. Aha! I weź dwa tygodnie urlopu.

- Urlopu?
- Najpierw zgromadzimy składniki. Zmontowanie aparatury i uzyskanie półproduktów zajmie nam jakiś tydzień. Zmieszanie – kilka minut.
- No to po co dwa tygodnie?
- Stary... Będziesz chciał spróbować, będzie cię korciło. I spróbujesz. A wtedy tydzień masz z życiorysu, jak obszył.
- W tym będą narkotyki? - Znów nabrałem wątpliwości.
- Nie, nie. - Bob zamachał gwałtownie łapkami. - Tyle czasu minie, nim się zbierzesz w sobie na tyle, żeby przestać jeść i wyjść z kuchni.

Krótko mówiąc, gryzoń nie pomylił się ani o jotę. Dobrze, że wziąłem urlop na trzy tygodnie, bo choć po tygodniu żarcia potraw z przyprawą Boba czułem się już na siłach, by przestać, wcale nie miałem ochoty. Obawiałem się tylko, co na tę nieobecność powie moja małżonka, ale na szczęście, na wciąż wznoszącej się fali szczęścia, gładko łyknęła lipne trzytygodniowe zagraniczne szkolenie kucharskie!

Samą przyprawę postanowiłem potraktować z pewną nieufnością. Fakt, głupotą było wypróbowywanie jej na sobie, ale trochę się przed tym zabezpieczyłem. Bardzo drobną jej ilość oddałem do przeprowadzenia kilku znaczących testów chemicznych. Znajoma chemiczka z czasów studiów (sąsiadka z akademika) poleciła mi kogoś pracującego w nieźle wyposażonym laboratorium. Wynik był negatywny, przyprawa nie zawierała większości znanych i popularnych nieorganicznych substancji trujących ani trucizn organicznych. Można było więc wypływać na szerokie wody.

Spytacie się, po co te testy? Ano, doświadczenie płynie ze słowa pisanego. Mało to książek i opowiadań science-fiction, w których przybysze z kosmosu próbują wygubić rasę ludzką? Powiecie, że znałem dobrze Boba. Owszem, poznałem go nieźle i szczerze polubiłem. Ale biznes is biznes, a dupę kryć trzeba. Zresztą, uśmiejcie się, jak już wyszedłem z tego amoku żarcia przyprawy we wszystkim, Bob sam delikatnie zwrócił mi uwagę, że postępuję nierozważnie. Że powinienem przed konsumpcją sprawdzić przyprawę na obecność trucizn, bo niby wedle jego wiedzy wszystko gra, ale komputery zawsze mogą coś przeoczyć. Nie przyznałem się wtedy, jakoś tak głupio mi było, obiecałem tylko, że niebawem to uczynię.

Koniec końców, przedłużyłem na czas nieoznaczony trzytygodniowy najem magazynu, w którym produkowaliśmy przyprawę. Odwiedzałem go prawie codziennie, by dopilnować wyrobu kolejnych porcji, a te zabierałem do restauracji. Ciekawiście na pewno, jaki był skutek?

Szał.

Ludzie, obrazowo mówiąc, walili drzwiami i oknami. Kto żyw i znaczący w mieście, musiał u nas jadać, tak po prostu. Stało się to miejsce modne i wygodne.

Po dwóch tygodniach szef dogadał się z właścicielami obu sąsiednich lokali, w trybie ekspresowym wypowiedziano im umowy najmu i rozpoczęto remonty. Restauracja się rozrastała. Ja sam nie byłem już w niej jednym z kucharzy, stałem się szefem kuchni o niebywalej estymie wśród personelu. Przez kilka dni parę osób miało do mnie lekki żal, nie powiem. Zwłaszcza pozostali kucharze. Ale kiedy

skoczyły ceny w menu i zaraz po tym nasze pensje, protesty i niesnaski się urwały.

Remonty zakończono w rekordowym czasie dwóch tygodni. Restauracja była większa, ale przerastała ją sława. Nie musieliśmy szukać pracowników, zgłaszali się sami, tylko przebierać i wybierać. Zgarnęliśmy śmietankę kelnerów i kucharzy z Wrocławia i okolic.

Nie byłem już znanym szefem kuchni. Byłem najbardziej rozpoznawalnym nazwiskiem na kulinarnej mapie Wrocławia! Co tam Wrocławia, województwa, kraju! Nim minął miesiąc od mego powrotu do pracy, zdążyłem już dać dwa wywiady do poczytnej prasy o modzie i stylu życia, zaś nim minął drugi, restaurację polecały wszystkie magazyny dla snobów i tych, którzy chętnie by snobami zostali. Nie szukałem sławy, trzymałem ją już w garści i mogłem przebierać w ofertach, mogłem sam decydować, komu dam wywiad czy w której stacji telewizyjnej się pojawię!

Czy szef pamiętał jeszcze o swym niezadowoleniu z mego trzytygodniowego, bezpłatnego urlopu? A skąd! Mieliśmy w restauracji gości ze świata polityki, mody, kultury i sztuki. Pojawiły się nawet micheliny, i tylko z wrodzonej skromności nie zdradzę, ile gwiazdek dostaliśmy. Goście przyjeżdżali do nas specjalnie z Niemiec, Włoch, Francji, Anglii, a nawet ze Stanów!

Ta kariera, przyznaję, nieco mnie oszołomiła. Chciałem, ale i musiałem poświęcać pracy dużo więcej czasu, niż onegdaj pracując w urzędzie. Nie da się ukryć, że traciło na tym życie rodzinne, coraz mniej czasu spędzałem z żoną. Na szczęście jej to nie przeszkadzało, moja jaśniejsza gwiazda opromieniała ją w wystarczającym stopniu. Wtedy nie potrafiłem tego należycie ocenić, więc i nie przejmowałem się za bardzo. Oczywiście z perspektywy czasu wszystko wygląda inaczej, ale kto mógł wtedy o tym wiedzieć?

Przyszedł wreszcie czas, gdy porzuciłem Wrocław i restaurację. Dostałem propozycję nie byle skąd, bo z *Georges V*, jednej z najbardziej znanych restauracji Paryża, znajdującej się w nie mniej znanym hotelu. Decyzja była prosta, na tej drodze mogłem zrobić tylko krok naprzód. Tak mi to tłumaczyła moja małżonka, tak też widziałem to ja sam. Wynająłem mieszkanie w stolicy Francji i rozpocząłem pracę.

Ach, Francja... Zagadałbym się do szczeru, chcąc opowiedzieć o tej inności i o cudowności kolebki najlepszej kuchni na świecie. Zanudziłbym nawet, opowiadając tylko o minusach Francji i tamtejszego życia. Tego się nie da opowiedzieć, trzeba to po prostu przeżyć, choćby przez kilka dni.

Zresztą, wpadłem w taki wir pracy, że dotychczasowy nadmiar zajęć w Polsce wydawał mi się teraz pracą na niepełny etat. Oczywiście musiałem się sprężyć i pokazać, co potrafię, co innego intratna propozycja, a co innego marka wyrobiona na miejscu. Przyznam, że z trudem znalazłem czas, by się przejść odlotem Boba i by się z nim należycie pożegnać. Misja szczurów na Ziemi dobiegła końca i wracali na ojczystą planetę. Nie powiem, z żalem wypowiadałem słowa pożegnania i podzięki za to, co dla mnie zrobił. Ale myślałem i tak byłem gdzie indziej, pomiędzy błatami, parującymi i skwierczącymi patelniami, garami i salaterkami. Machinalnie tylko kiwałem głową, gdy przypominał mi o konieczności rozpowszechnienia przyprawy na Ziemi. W końcu pożegnaliśmy się ostatecznie i projekcja Boba przestała nawiedzać mój dom.

Po tym najtrudniejszym, pierwszym okresie kucharzowania w *Georges V* przyszedł wreszcie czas względnego luzu. Dyrekcja hotelu poznała się na mnie i doceniła, reszta personelu kuchni była doskonale wytrenowana i zgrana, poznaliśmy tylko wzajemnie swój styl pracy i mogłem już się bardziej poświęcić zarządzaniu, kontrolowaniu i oczywiście najważniejszemu – wymyślaniu nowych

przepisów tudzież udoskonalaniu starych.

Nie muszę chyba tłumaczyć, że największym problemem stał się coraz mniejszy zapas przyprawy Boba. W tym przypadku dopisało mi trochę szczęścia. Udało mi się znaleźć pięknie przygotowany loft w dzielnicy przemysłowej. Przynależały do niego spore pomieszczenia magazynowe, więc bez zbędnych ceregieli sprowadziłem z Wrocławia aparaturę i zacząłem samodzielnie wytwarzać przyprawę. Miałem teraz blisko do fabryczki, wystarczyło zjechać windą na dół i już byłem w dziale produkcji. Nie muszę chyba dodawać, że znacząco przyczyniało się to do zwiększenia bezpieczeństwa przedsięwzięcia, bo łatwiej mi przychodziło ukrywanie tajemnicy.

Tak mijały miesiące.

Zmieniało się moje życie i zmieniał się świat. Temu drugiemu oczywiście poświęcałem mniej uwagi.

Restauracja w *Georges V*, już wcześniej bardzo poważana i popularna, stała się najlepszą i najbardziej znaną w całej Francji. Michelin, po dłuższym namyśle, utworzył specjalnie dla nas nową kategorię dodając do swego standardowego zestawu jedną gwiazdkę. Byliśmy jedyną restauracją na świecie z czterema gwiazdkami w przewodniku. Jadała u nas sama śmietanka, najważniejsi ludzie we Francji i z całego świata. Ceny były niebotyczne, ale nie powstrzymywało to nikogo z bywalców. Zaś moje zarobki stały się astronomiczne.

Sprawy rodzinne układały się, szczerze mówiąc, tragicznie, choć wtedy tak tego nie postrzegałem. Gośka została w Polsce i korzystała z owoców mej ciężkiej pracy. Więcej zresztą wartych we Wrocławiu niż w Paryżu. Czasem przyjeżdżała do mnie, gdy pozwalała jej na to praca i coraz liczniejsze kontakty towarzyskie. Głównie kontakty towarzyskie, jeśli mam być szczery, bo z czasem zupełnie porzuciła pracę i skupiła się na brylowaniu na salonach.

Jak było, gdy mnie odwiedzała? Tak sobie, nijako. Żadnych romantycznych bzdur, wspólnych wypadów w Alpy czy na Łazurowe Wybrzeże, żadnych kolacyjek w małych restauracyjkach. I właściwie to już zupełnie bez upojnych nocy. Tylko haute couture, modne restauracje, opera, bankiety. Pobłyszcząć u boku znanego i popularnego męża, to w całości wyczerpywało zainteresowania mej małżonki. To było spełnieniem jej marzeń, wiedziałem, że skrycie żałowała, że nie chcę, by zamieszkała tutaj ze mną i brylowała na pełny regulator. Od kiedy pamiętam, uwielbiała Francję, język, kulturę, architekturę, po prostu wszystko, co francuskie. Cóż się więc dziwić, że odwiedzając mnie, tak naprawdę odwiedzała kraj swych marzeń, który przecież mogła zgłębiać w glorii żony znanego człowieka.

Czemu nie chciałem? Wtedy trudno by mi było to ustalić. Ot, jakoś nie miałem ochoty spędzać z nią więcej czasu, tyle ile w trakcie jej wizyt. I to już było nadto, prawdę mówiąc. A poza tym, zdaje mi się, sam sobie wtedy zamydlałem oczy, wmawiając sobie, że to główny niby powód – gdy mnie odwiedzała, trudniej mi było ją utrzymać z dala od wytwórni przyprawy. I utrzymać wszystko w należytą tajemnicy.

Sam zresztą żyłem na wysokich, towarzyskich obrotach. Jako człowiek bardzo, bardzo znany, pojawiający się na co dzień w prasie i w telewizji, na zdjęciach i na spotkaniach z ludźmi popularnymi, byłem dobrze rozpoznawalny i wszędzie chętnie widziany. Zapraszano mnie na bankiety, pokazy mody, galę w Cannes. Mało tego, jakiś wpływowi wielbiciel mej kuchni stanął na głowie i sprawił, że z wielką pompą wręczono mi francuskie obywatelstwo! Mnie, człowiekowi mówiącemu bardzo kulawą francuszczyzną! Gratulujący mi tego wyróżnienia prezydent Francji oznajmił przed kamerami, że człowieka tak doskonale francuskiego w duszy, tak wspaniale

rozumiejącego wyższe potrzeby francuskich kulinariów, nie można było nie uhonorować obywatelstwem kraju, który przecież kocha jeść. Nawet jeśli ten człowiek po francusku, w najlepszym razie, duka.

Kręciło się wokół mnie mnóstwo pięknych i znanych kobiet, aż wychodzących ze skóry, by wdać się w romans z równie jak one sławnym człowiekiem. Nie powiem, często zdarzało mi się właśnie w takim towarzystwie nawiedzić tę czy inną galę, okazji w każdym razie nie brakowało. Mimo to nigdy nie zdradziłem Gośki. Czy tak bardzo przedkładałem ją nad inne kobiety? Ależ nie, uwielbiałem teatralnie skrywaną atencję! Po prostu mi się nie chciało. Najzwyczajniej w świecie nie myślałem o seksie. Zdarzyło mi się nawet, raz czy dwa, zastanowić nad tym, ale uznałem, że jestem najzwyczajniej przepracowany, pierwszy raz w życiu chyba na taką skalę. Pracy było sporo, obowiązków towarzyskich nie mniej. Więc nie powinienem się specjalnie dziwić brakiem ochoty.

A pracy miałem w bród. Zamyśliłem sobie bowiem, po części pamiętając o prośbach Boba, a po części chcąc, najzwyczajniej w świecie, zarobić więcej kasy, założyć firmę sprzedającą gotowe potrawy zawierające nieziemską przyprawę. Organizacja przedsięwzięcia od strony koncepcyjnej, produkcyjnej, zasobów ludzkich, a zwłaszcza od strony formalnej, pochłonęła masę czasu i energii. Nierzadko musiałem na szali stawiać mą pozycję i poczynione w międzyczasie znajomości! W końcu udało się jednak przebrnąć te trudne etapy, pokonać opory urzędników, uzyskać odpowiednie atesty sanitarne i laboratoryjne, by wreszcie uruchomić sprzedaż gotowych dań. Oczywiście nie była to kuchnia najwyższych lotów, gdybym oferował dania równie wykwintne, jak gotowałem w *Georges V*, restauracja pewnie straciłaby sporą część klientów. Przyprawy do oferowanych dań też dodawałem znacząco mniej. Ale nie miało to większego wpływu na sukces. Firma błyskawicznie odzyskała skredytowany kapitał, nabrała estymy i powagi. A kasa płynęła szeroką strugą.

Dania sprzedawały się jak świeże bułeczki. Stały się stałym punktem w jadłospisach Francuzów. Mowa oczywiście o rdzennych obywatelach, wśród rzesz ludności napływowej o różnych kolorach i odcieniach skóry moja kuchnia nie nabrała nigdy popularności. Niewątpliwie wpływ na to miały rady zatrudnionych specjalistów od PR i marketingu. Wywodzili oni, że niemożliwe będzie zdobycie na szerszą skalę odbiorców we wszystkich francuskich grupach etnicznych. Że uzyskanie masowej sprzedaży wśród ludności kolorowej będzie trudniejsze niż wśród białych, bo ci ostatni kojarzą mnie, białego, jak by nie było, jako swojaka, popularnego specja od francuskiej kuchni, posiadającego francuski paszport wręczony przez samego prezydenta. Hołdującym przekonaniu, że na rozmaitych stylach gotowania to ja się mogę znać nawet i superrewelacyjnie i uprawiać je w restauracji, ale Francuzów mam karmić po francusku. Jeśli skieruję ofertę do kolorowych i zaproponuję dania etniczne, biali mogą to odebrać jako odejście od nich i przede wszystkim – od tradycyjnej kuchni francuskiej. Mógłbym wtedy wiele stracić, niewiele zyskując. Skutki byłyby katastrofalne: spadek sprzedaży i zaufania do firmy właśnie wśród rdzennych Francuzów, utrata reputacji znakomitego kucharza i pracy w najlepszej francuskiej restauracji. Uwierzyłem im i wycofałem z planowanej oferty firmy dania afrykańskie, arabskie, tajskie, wietnamskie i hinduskie.

Mijały lata.

Mojej aktywnej egzystencji zagrozić mogła tylko jedna osoba – moja żona. I oczywiście z intuicyjną pewnością siebie uczyniła to, czego najbardziej się obawiałem. Jej marudzenie, że wolałaby mieszkać ze mną, w Paryżu, osiągnęło już taki poziom, że nie dało się wytrzymać. Był to niegasnący temat rozmów w trakcie jej odwiedzin i przyczynę do kilku telefonów każdego dnia, gdy była w Polsce. Co miałem jej powiedzieć? Podstawowy, zdawałoby się, w takiej sytuacji argument, że powinna zostać w kraju z dziećmi i się nimi zajmować, nie miał racji bytu – dzieci się nie dorobiliśmy i raczej się już na to nie zanosilo. O tym, czego się obawiałem naprawdę, mianowicie wpychaniu wścibskiego nosa w

fabryczkę pod apartamentem, nie mogłem z oczywistych względów nic powiedzieć. Trwałem więc niewzruszony, w milczeniu, bez podawania argumentów. Niczym obojętna skała odpierałem coraz natarczywsze żądania.

Aż w końcu pękłem. Wymiękłem, gdy zaczęła mi histerycznie zarzucać, że na pewno mam kogoś we Francji na boku i dlatego nie życzę sobie jej obecności. Uległem i powróciły czasy pantoflarza, który chce mieć spokój.

Gdy podjąłem już decyzję, gdy zacząłem przyzwyczajać się do myśli, że Gośka niebawem się u mnie pojawi i już zostanie... Uświadomiłem sobie, że prowadzimy przecież zupełnie osobne życia, że nic już nas nie łączy. I wcale mi się to nie spodobało. Bo przecież nie zdradziłem małżonki, nie wdałem się w romans z żadną z chętnych przedstawicielek francuskiej socjety, ba, właściwie to nawet nie zacząłem żadnej darzyć choćby tylko przelotnym uczuciem. Za to odżyły we mnie rzewne wspomnienia z lat naszej młodości. Zatęskniłem za, zdawałoby się, utraconą miłością. Postanowiłem zaryzykować.

Moje obawy były przedwczesne. Ma połowica bynajmniej nie miała zamiaru zamieszkać ze mną w modnym i gustownie urządzonej loftcie. Zniechęcał ją fabryczny charakter dzielnicy oraz dość spora odległość od centrum. Wymogła na mnie, bym nabył duży apartament w eleganckiej kamienicy położonej atrakcyjnie w siedemnastej dzielnicy. Oficjalnie mieszkaliśmy tam razem, nieoficjalnie... ekhem, byłem tam powiedzmy, bywalcem.

Jeśli liczyłem na renesans naszego uczucia, to się przeliczyłem. Moja lepsza połowa rzuciła się w wir życia towarzyskiego z zapalem godnym lepszej sprawy. Znow brylowała na salonach, pojawiała się na galach i pokazach mody, spotykała z celebrytami świata biznesu, mediów, mody, filmu i polityki. Miała do tego dryg. A ja byłem tylko dodatkiem... Sławnym, owszem, ale przy niej tym cichym, milczącym. Znalazła sobie nawet pracę na fali nowych znajomości i popularnego nazwiska męża. Pracę na miarę nowego trybu życia, dodam. Zaczęła pośredniczyć w handlu i najmie nieruchomości. Domy z ogromnymi zespołami parkowymi. Zamki i zameczki. Stadniny i winnice. Perły architektury. Cuda krajobrazu.

Poszukiwanie nowej posiadłości jest dla francuskiego arystokraty czy innego celebryty zjawiskiem znacznie odbiegającym od tego, co odczuwa przeciętny zjadacz chleba, oglądający kolejny klitki w blokach i wciąż przeliczając w myślach stan konta, zdolność kredytową i potencjalne raty. Od pośrednika w obrocie takimi nieruchomościami oczekuje się zupełnie innych cech i umiejętności. Nie pośpiechu, lecz wyczucia smaku. Czasu na spotkanie przy kawie i kieliszku wina, spotkanie, przy którym nie rozkłada się na stoliku laptopa ze zdjęciami domów czy apartamentów, lecz rozmawia elegancko i wykwinie o niczym i tylko zdawkowo gdzieś w tle wspomina o... Hmm, a może Chateau de Breillac? Trochę zaniedbany, ale są tam cudowne tereny do jazdy konnej. Och, jest taki rozkoszny Maison w Sueilly-sur-Loire, moglibyśmy się tam wybrać w czwartek, po herbacie?

Radziła sobie świetnie. W tym towarzystwie czuła się jak ryba w wodzie. Praca ta i życie towarzyskie przenikały się na wskroś. Pozwól, droga Madeleine, przedstawię ci kogoś. Marguerette jest żoną tego kucharza z *George V*, pamiętasz? Słuchaj, to ona znalazła mi to cudne, małe chateau z polem golfowym. No wiesz, niedaleko Agones. Klienci po prostu sami pchali się jej w ręce. Nie, żeby się bardzo przepracowywała. W takim miejscu ilość spraw jest nieduża, za to prowizje – niebotyczne. Dzięki temu moja lepsza połowa stała się prawie niezależna.

Prawie. W końcu ubierała się w tych samych butikach i salonach co jej klientki. Ale było nas na to stać.

Gdy byt firmy się należącie ustabilizował, miałem więcej czasu dla siebie. Oddawałem się oczywiście pracy w restauracji i obowiązkom towarzyskim. Firmy prowadzić nie musiałem, dobrze opłacani managerzy zarządzali nią doskonale i z przyjemnością mogłem obserwować rosnący stan rachunków bankowych.

Mogłem już sobie spokojnie pozwolić na częstsze wyjazdy do Polski. Wybudowałem nowy, wspaniały dom pod Wrocławiem, więcej czasu spędzałem z żoną i polskimi przyjaciółmi. Zdarzało mi się też wpadać znienacka do mojej dawnej restauracji, gdzie witano mnie niemal owacyjnie. Robiłem wtedy gościnne występy, nie pobierając wynagrodzenia, gotowałem cały wieczór ku wielkiemu zadowoleniu właściciela. Moje sporadyczne wizyty pozwalały mu utrzymywać wysoki poziom cen i płac, co pasowało wszystkim.

Jako człowiek bogaty zacząłem się też bardziej interesować dobroczynnością. Opłacałem konwoje z żywnością dla głodujących w państwach trzeciego świata, budowę studni, lekarzy, szczepionki. Nawet dołożyłem się do kilku szpitali. W ogóle coraz bardziej interesowało mnie to, co się dzieje na świecie.

A działo się wiele.

Amerykańska krucjata przeciw terroryzmowi trwała w najlepsze. Dzień w dzień amerykańscy chłopcy ginęli za demokrację w Afganistanie, Iraku i Jemenie. Jakby tego było mało, amerykański prezydent wpędził swój kraj w kolejną wojnę, wykorzystując jako pretekst coraz bardziej jawne prace Iranu nad bronią nuklearną. Kraj ajatollaha okazał się dla USA orzechem o wiele trudniejszym do zgryzienia niż ich dotychczasowi przeciwnicy. Wojna trwała w najlepsze, a u boku Ameryki trwali jej wierni sojusznicy – Anglicy i Polacy.

Nie była to zresztą jedyna wojna. Jakieś postsowieckie kraje kaukaskie znów dały upust nienawiści, pragnąca ze wszech miar pokoju Rosja pchała tam łapy i czołgi. Walczyły też jakieś kraiki w Afryce, a nawet w Malezji.

Ceny na świecie podlegały ciągłym niepokojącym fluktuacjom. Z uwagi na wojnę w Iranie i na Kaukazie, zwyżkowała ropa. Z kolei w dół, niepokojąco, ciągnęły ceny żywności, sprawiając, że ten sektor gospodarki stawał się coraz mniej opłacalny. A to z kolei wymuszało na Unii Europejskiej zwiększanie dopłat bezpośrednich i drenowało unijny skarbiec i kieszenie podatników ponad miarę.

Wielkie zmiany nie ominęły nawet hermetycznej Francji. Na dość kuriozalną skalę, przyznaję. Moją nową ojczyznę ogarnęła niebotyczna fala rozwodów, spowodowanych masowo odkrywanymi zdradami. Co ciekawe, najczęściej, wręcz w lwiej części przypadków, rodowite białe Francuzki zdradzały mężów z mężczyznami nacji murzyńskich, arabskich i azjatyckich. Wychodziło to na jaw, gdy w białych rodzinach zaczęły się rodzić, w niepokojących ilościach, kolorowe dzieci. Problem dotyczył tak małżeństwa posiadające już pewien staż, jak i młode, startujące dopiero na wspólnej drodze życia. Kolejne media włączały się w temat i biły na alarm, ale nikt nie miał pomysłu, co z tym fantem zrobić. A przecież nawet sama Carla Bruni z hukiem opuściła męża i związała się z czarnoskórym producentem muzycznym. Pikantne szczególiki relacjonowała mi Gośka, zaprzyjaźniona z Carłą od paru miesięcy. A prasa brukowa miała używanie.

Tak minęło dwanaście lat.

Powrót szczurów zaanonsował mój stary grundig. Razem z wieloma drobiazgami zabrałem go ze sobą do Francji. Jakoś tak... czułem się przywiązany. Trzymałem go z sentymentu za starymi czasami, lubiłem usiąść przy nim, włączyć muzykę z innego sprzętu i wyobrażać sobie, że nadal

jestem nastolatkiem, którego rodziców nie stać na nowoczesny magnetofon. Że znów słucham na nim tamtych nagrań... Trudno to pewnie zrozumieć, choć spotkałem się parę razy z taką postawą wyrażaną w stosunku do gramofonów. Że niby muzyka cyfrowa, taka bez trzasków i szumów, nie ma duszy. Mnie to nigdy specjalnie nie wzruszało, ale jak rzekłem – sentyment.

W każdym razie mój grundig od kilku dni trzeszczał. Cicho, ale na tyle wyraźnie, by zwrócić na siebie uwagę. Nie był uruchomiony, ale wtyczka, sam nie umiem powiedzieć dlaczego, tkwiła w gniazdku. Przypomniałem sobie, że zdarzało mu się to również wtedy, gdy uczyłem się od Boba gotować. I że szczur też coś wspominał o działaniu szpulowca, że to właśnie jakiś dziwny sygnał zwrócił na siebie i na mnie uwagę Boba i jego komputera pokładowego. Wywiodłem z tego wniosek, że szczuroludzie są już ponownie w drodze, być może już całkiem blisko Ziemi. A może nawet na orbicie?

Nie musiałem długo czekać.

Pewnej nocy, kilka dni później, obudziłem się, czując, że coś po mnie łązi. Blask latarni nie był w stanie przebić się przez rolety, więc zapaliłem lampkę. Na pościeli stał Bob, poznałem go od razu, choć wyglądał zupełnie inaczej niż w dawnych projekcjach holograficznych. Solidne, grube ubranie, jakby kombinezon, przypominająca plecak plastikowa konstrukcja na ramionach i coś jak aparat tlenowy na głowie.

Ucieszyłem się jak cholera, zdążyłem polubić drania i często mi go brakowało. Zresztą chyba się nie dziwicie, w końcu komu zawdzięczam sukces? To tak, jakby mieć żywą maskotkę przynoszącą szczęście.

Po energicznych ruchach szczura poznałem, że również jest nieelicho podekscytowany. Wydawał z siebie masę dźwięków, szczekliwych, warczących, piszczących, podskakiwał, kręcił się jak fryga i co rusz dotykał moich dłoni i twarzy. Zgłupiałem trochę. Nie dość w końcu, że byłem ledwie wybudzony z głębokiego snu, to dezorientację znacząco powiększały wspomnienia. Chwila dłuższa minęła, nim ocknąłem się na tyle, by zrozumieć – Bob terkocze, jak najęty, w swoim szczurzym języku! Przecież wtedy, w Polsce, kontakt między nami utrzymywały komputery jego pojazdu. Nie tylko projekcję. Mowę również musiały przekładać, trudno od kosmicznej rasy gryzoni oczekiwać, że będzie porozumiewać się językiem czterdziestomilionowego narodu, będącego ledwie ułamkiem kilkumiliardowej populacji naszej planety!

Wzbudziło to, nie ukrywam, mój natychmiastowy podziw dla techniki pobratymców mego przyjaciela. Bo przekład tych szczeknięć, który pamiętałem sprzed lat, był idealny! Jakbym rozmawiał z nieźle wykształconym rodakiem. Niestety, teraz kompletnie nic nie rozumiałem z jego szczekliwego słowotoku i to raczej nie z powodu zniekształcającej dźwięki maski na jego pyszczku.

Zorientował się w tym samym momencie i zaciągnął mnie do mojego komputera, co chwila robiąc znaczące miny i unosząc wyciągnięty kciuk. Zdjął obudowę peceta, pogrzebał trochę we wnętrzu, chyba coś tam zamontował, po czym, gestykulując, dał mi znać, bym uruchomił maszynę. W czasie, gdy system się odpalał, Bob wyciągnął jakieś urządzonek, poobserwował je przez chwilę, po czym z westchnieniem ulgi zdjął maskę. Stracił jeszcze chwilę na buszowanie po kompie, uruchomił jakąś aplikację, coś skonfigurował i wreszcie... zaczął mówić, a głośniki komputera błyskawicznie wypuły polski przekład. Jak za starych, dobrych czasów.

– Witaj stary! Przepraszam za ten akwalung, musiałem sprawdzić powietrze. Niby możemy oddychać waszym, skład jest dość podobny, ale w większych miastach macie takie zanieczyszczenie, że mogłoby mnie zabić! Na szczęście w twojej chałupie jest git.

– Cześć, Bob!

Szczur, już w trakcie przemowy, zdążył zrzucić większość wyposażenia i grube ubranie. Znów stał naprzeciw mnie jak kiedyś, nawet ubranie miał podobne: szorty i takiego udziwnionego t-shirta. Stał wreszcie wyprostowany na biurku obok monitora, uklonił się z gracją i wyciągnął przed siebie łapkę. Gdy ją ująłem delikatnie, dwoma palcami, poczułem naprawdę silne wzruszenie. Bob wrócił! Wrócił i od razu mnie odwiedził! I wreszcie stoję twarzą w twarz z nim, a nie jakąś holoprojekcją!

Co można zrobić w takiej sytuacji? Zadzwoń od razu do mojego zastępcy, oczywiście obudziłem go i musiałem najpierw wysłuchać porcję merdów i piuténów, nim wreszcie dał mi dojść do słowa. Oznajmiłem, że biorę parę dni wolnego i że przejmuję dowodzenie. Nie był zdziwiony, bo zdarzało mi się to od czasu do czasu, gdy miałem ochotę skoczyć do Wrocławia, dajmy na to.

A potem, wywiedziawszy się uprzednio, czy szczuroludź metabolizuje alkohol, zabrałem do salonu Boba, komputer i butelkę najlepszego koniaku. I co tu dużo gadać, nim minęły trzy godziny, ostro się urznęliśmy. Ja z koniakówki, on z nakrętki. Nagadaliśmy się też niewąsko, choć muszę przyznać, że głównie ja gadałem i oczywiście w większości o kulinariach. Pozwierałem mu się ze szczegółów francuskiego życia, poopowiadałem dyktetyki z życia wyższych sfer i pożaliłem na małżeństwo

Bob przecenił swoją odporność na przedni napitek, a może nie docenił jego mocy, bo nad ranem padł jak ścięty, mimo że wypijał porcje dużo mniejsze ode mnie. Też już miałem zdrowo w czubie, więc zostawiłem go tak, jak zasnął, częściowo na oparciu fotela, a częściowo na blacie stolika, z łebkiem wspartym o klawiaturę. Ległem na kanapie i łagodnie opadłem w objęcia Morfeusza i Bachusa.

Obudziłem się późnym popołudniem. Z solidnym kacem, któremu szybko zaradziłem sprawdzonymi domowymi metodami: klinem, aspiryną, a po jakimś jeszcze czasie dużą porcją lodowato zimnego mleka. Bob spał dalej w tej samej pozycji. Próbowałem go obudzić, delikatnie, a potem już bardziej bezpośrednio, ale daremnie. Nieco się zestrachalem, czy nie zatrąłem go zbyt wielką dawką alkoholu! Ale spał tak spokojnie, oddychał i ogólnie sprawiał wrażenie, na tyle, na ile mogłem to ocenić, zdrowo wypoczywającego. Po prostu długo. Przełożyłem go więc na siedzisko fotelu, gdzie powinno mu być wygodniej i przykryłem kocem. A on spał przez cały dzień, kolejną noc i jeszcze kolejny dzień aż do wieczora.

A gdy wreszcie wstał, opił się wody i poczuł lepiej, wróciliśmy do rozmowy. I wtedy rozpętało się piekło.

- O żeż... kuźwa! - Siedział akurat na krawędzi stolika, majtając swobodnie dolnymi łapskami, gdy dotarła do niego najbardziej interesująca część opowieści - Czyś ty na łeb upadł? O w mordę!

- Ale... co? - Jego nagła reakcja sprawiła, że omal nie udławiłem się francuskimi grzankami, które pracowicie pałaszowaliśmy.

- No stary! Tłumaczyłem ci przecież! Ile razy można, kurna, powtarzać? - perorował zaciekle. - Miałeś przyprawę roz-pow-szech-nić! Miała być znana wszystkim, łącznie z procesem produkcji! Mielicie ją zjadać wszyscy! Wpierdzielać na całej chromolonej planecie. Przecież teraz, kurde, nic się nie uda! Cały plan w łeb... znaczy się, słuchaj, ja mam przerypane u naszych!

- Nie przesadzaj...

- Co nie przesadzaj, co nie przesadzaj?! Dałem ci mnóstwo czasem! Ponad dziesięć waszych lat! Miało być załatwione! - Trząsł się coraz bardziej, sam nie wiedziałem, czy z wściekłości, czy ze

strachu. – Jak się moi dowiedzą... że ci dałem przyprawę, to... odwołają cały ten kontakt!

– Nooo... A co, do kogo uradziliście iść? Komu się ujawnicie? – Próbowałem zmienić temat, żeby go uspokoić. – Prezydentowi USA? Komisji europejskiej? Rządowi Chin? Papieżowi? A może wiesz, w Polsce? To by nam trochę pomogło, prestiż międzynarodowy by wzrósł...

– Tak po prawdzie to jeszcze nie. – Metoda chyba przyniosła skutek, bo Bob uspokoił się i podjął temat. – Postanowili u nas, że sytuacja na waszej planecie jest trochę niestabilna. A to się bijecie cały czas, a to wojny i kryzysy gospodarcze... I nie do końca wiadomo, kto w danym układzie będzie najbardziej reprezentatywny, bo sytuacja jest płynna.

– Mnie się wydaje, że chyba najbardziej to jednak amerykański prezydent – odpowiedziałem.

– Niby tak. Dziś. A za dziesięć, dwadzieścia lat? Dopadnie ich w końcu deficyt finansów publicznych, przyduszą długi od życia ponad stan, rynek nieruchomości się zawali i co? Świat przestanie słuchać, co mają do powiedzenia.

– Niby racja. – Wywód Boba mnie zaskoczył, oni naprawdę solidnie przeanalizowali, co się u nas dzieje! – No to po co właściwie... przylecieliście?

– Mamy założyć w Układzie Słonecznym posterunek, na jakiś czas. Żeby was jeszcze poobserwować. Sprawdzić, czy sytuacja się stabilizuje, w którym państwie najlepiej się ujawnić, z którym przywódcą rozmawiać. Mamy typy, ale brak u nas consensusu.

– Na jak długo?

– Kilka lat może...

– Super, Bob! – Wybuchnąłem entuzjazmem, nie do końca przecież udawanym. To naprawdę był nadzwyczajny news, mieć tu znów Boba i to jego samego, a nie projekcję! Może jeszcze czegoś by mnie nauczył albo dał coś nowego na miarę tej przyprawy...

– Ja ci dam super – odparł spokojnie, a potem wrzasnął na pełen regulator, tak, że jego wrzask zagłuszył automatyczny przekład z komputera. – Ja ci dam super!!!

– Bob, uspokój się...

– Jak mam się uspokoić?! Przecież teraz odwołają całą imprezę i każą nam zwijać manatki!

– To im nie mów! – Oponowałem.

– I myślisz, że to coś zmieni w mojej sytuacji? Nawet jeśli misja się powiedzie i kontakt zostanie nawiązany, prędzej czy później ktoś dojdzie do tego, że ja ci dałem coś niedozwolonego! Nasze cywilizacje mogą sobie współpracować do woli, a mnie za karę wyrpią w kosmos. Bez skafandra!

– Macie takie drakońskie kary?

– Nie! – odparł Bob, patrząc mi prosto w oczy. – Ale w tej sytuacji możesz być pewien, że to właśnie zrobią i nie będą się oglądać na przepisy!

– Ale Bob! – Próbowałem go jeszcze uspokoić. – Przecież mówisz, że będziecie tu przez kilka lat. W tym czasie damy radę rozpowszechnić przyprawę...

– Teraz?! Ty matole! Teraz na pewno jakiś bubek w naszym dowództwie skojarzy masową podaż tego

gówna z nami. Jak myślisz, ile czasu im zajmie wykoncypowanie, kto i komu zdradził recepturę? Gdybyś się postarał i zrobił tak, jak mówiłem, pewnie by to jakoś przeszło. Bo nas tu nie było! I mogliście jakoś sami do tego dojść! Ale teraz? Za późno!

No i co miałem mu powiedzieć? Fakt, zawałem. Dla pieniędzy i prestiżu, nie oszukujmy się. Kapucha płynie z tego interesu niewąska, a człowiek jest tylko człowiekiem. Któż nie pragnie być bogaty? A bogaty i znany, sławny wręcz, to już w ogóle spełnienie marzeń tysięcy ludzi! W dodatku nie osiągnąłem sławy w jakiejś barbarzyńskiej czy prostackiej dziedzinie, jak muzyka pop czy udział w programie reality-show, nie! Jestem jednym z najbardziej znanych kucharzy na świecie! A we Francji, kraju, jakby nie było, najbardziej ceniącym kulinaria, jestem wręcz najślawniejszy!

Mogłem przecież przez ten czas nabić kasę, zbudować firmę karmiącą cały świat i w ten sposób rozpowszechnić przyprawę. Myślałem o tym. Ale bałem się, że im większy zasięg działania, tym większe ryzyko, w Paryżu proces technologiczny miałem pod ręką, gdybym miał rozkręcić interes na większą skalę, musiałbym kogoś wtajemniczyć. A wtedy, prędzej czy później, ktoś by mi ukradł recepturę, zaczęliby ją produkować czy podrabiać Chinole i... straciłbym dalsze wpływy. Więc wolałem ograniczone, lecz bezpieczne i wcale niemałe zyski – na zawsze.

I co robić? Przyjaciół mam wielu, nie powiem, ale chyba tak naprawdę nie ma nikogo bliższego mi niż ten przerośnięty szczur. Jedyna istota, która pomogła mi zupełnie bezinteresownie i robiła to długo, choć tak naprawdę nie dawałem jej nic w zamian. I w dodatku, jak wiele zaryzykował! To, co zrobiłem, zagroziło nie tylko życiu Boba. Pod znakiem zapytania stanął też pierwszy kontakt międzycywilizacyjny w historii ludzkości! A może i w historii cywilizacji szczuroludzi, choć tego akurat nie byłem pewny. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

Mogłem zrobić jedno. Przestać dodawać przyprawę do produktów mojej firmy i do dań w restauracji, zniszczyć cały zapas oraz linię produkcyjną znajdującą się w magazynie pod moim apartamentem. Może kontrolerskie zapędy szczuroludzi zwróciłyby ich uwagę na nienaturalną skalę mojego sukcesu, ale nie byłoby żadnych dowodów! Bob byłby uratowany!

Tylko... wiecie, pieniądze. Straciłbym w ten sposób kupę szmalu. Owszem, firma przynosiła niezłe dochody, w restauracji też zarabiałem rewelacyjnie, ale kapitału zbyt wielkiego nie udało się zgromadzić. Wystawny dom we Wrocławiu, luksusowe życie Gośki i jej ekstrawaganckie potrzeby. Sporo kapitału zainwestowałem też w firmę i jej rozwój. Owszem, dużą część pieniędzy dałoby się odzyskać choćby sprzedając firmę. Nawet gdyby podziękowali mi za pracę w *Georges V*, miałbym jeszcze wystarczająco dużo pieniędzy na wygodne życie w tańszej Polsce, tym bardziej że mógłbym wrócić na dawną posadę we Wrocławiu. Nawet bez przyprawy byłbym wystarczająco dobrym kucharzem. Tylko musiałbym sprzedać firmę teraz... z przyprawą. Jeśli ją zniszczę i do konsumentów trafi towar bez tego dodatku, wartość firmy polecą na łeb, na szyję. Nawet jeśli uda się ją sprzedać, to za psi grosz.

Niezły dylemat, nie? Jak to w ogóle wytłumaczyć Bobowi? Nie wiem nawet, czy na ich planecie istnieje gospodarka towarowo-pieniężna podobna do naszej. Nigdy nie rozmawialiśmy o pieniądzach, aczkolwiek z tego, co pamiętam, dla Boba relacje o zarobkach nigdy nie były powodem do ekscytacji, bardziej cieszył się moim sukcesem przez pryzmat sławy. I jak mu wyjaśnić, jak wielkim problemem dla mnie jest szmal? Jeśli on najprawdopodobniej nie rozumie, a być może i w ogóle nie zna tego pojęcia?

Tak czy inaczej musiałem wrócić do pracy. Załamany Bob miał zostać na parę dni u mnie, jakoś tam załatwił, że się nim specjalnie nie interesowali, nie wiem – przyznał się do zawartej przed laty na Ziemi przyjaźni, czy też coś zmyślił. Na pewno musiał odchorować, gdy wychodziłem, wyglądał przynajmniej trzy razy gorzej niż ja się czułem. A to oczywiście dlatego, żeśmy popijawę

kontynuowali, on na smutno, a i ja na niezbyt wesoło.

Gdy wróciłem, szczura nie było.

Przebrałem się, posprzątałem po imprezie, posiedziałem trochę w fabryce na dole, bo automatyzacja automatyzacją, a przypilnować trzeba. W końcu poszedłem do kuchni żeby wyciągnąć i podgrzać parę dań, które przyniosłem z restauracji, przewidując, że nie będę miał czasu i ochoty na gotowanie.

Grunding nieznośnie buczał.

Nie przypominało to już cichego trzeszczenia sprzed paru dni. Było głośnie i denerwujące, w kuchni wprost nie dało się wytrzymać. Opukałem go, powduszałem kolejne przyciski i zacząłem się już zastanawiać nad rozkręceniem pokrywy i przecięciem kabli do głośnika, gdy zauważyłem, że taśma na szpuli, której przecież od dawna nie ruszałem, jest przewinięta do samego końca.

A szczura nie było.

Od razu pomyślałem, że sprawa się ryła, Boba wezwali z powrotem i postanowił mi zostawić, w ten dość nietypowy sposób, jakąś wiadomość. Jak uruchomił grundiga – nad tym się już nie zastanawiałem specjalnie. W końcu to oni są z kosmosu i potrafią porozumiewać się przez symultanicznie tłumaczone hologramy. Cofnąłem taśmę do początku i włączyłem odtwarzanie. Szpule kręciły się miarowo, ale bezskutecznie, z głośnika dochodziła jedynie cisza, zniknęło nawet to buczenie. Zaraz zresztą pojawiło się z powrotem, gdy tylko zastopowałem taśmę.

I co z tym zrobić? Magnetofon był zepsuty od lat, co ja mówię, od dziesięcioleci! Awaria dotknęła najprawdopodobniej głowicę, bo, od kiedy pamiętam, mechanizmy działały, tylko dźwięku nie było słuchać. A może, tknęła mnie myśl, nic się nie nagrało? Przy zepsutej głowicy byłbym naprawdę zdziwiony, gdyby się szczurowi udało. Zataskałem grundiga do kompa, włączyłem tłumaczącą aplikację Boba i odtworzyłem taśmę. Nadal nic.

Wujek Google pomógł.

Dość szybko namierzyłem w mojej dzielnicy faceta prowadzącego sklepik, coś pośredniego między antykwariatem ze starymi urządzeniami a punktem ich naprawy. Grubsza sumka przekonała właściciela, by mi poświęcił trochę swego cennego czasu i otworzył sklep, mimo już dość późnej pory. Chciałem najpierw, żeby zgrał mi zawartość szpuli na swoim sprzęcie, do wersji cyfrowej, ale po namyśle uznałem, że lepiej będzie, jeśli nie usłyszy tego, co Bob mógłby mi mieć do powiedzenia. Niby co miałbym mu powiedzieć, że to odgłosy godowe ryjówki amerykańskiej? O ile oczywiście słusznie się domyślałem. Poprosiłem więc tylko o naprawienie magnetofonu. Strojenie radia nie było mi potrzebne.

Właściciel rozbebeszył grundiga i wyjaśniła się tajemnica nagrania. Osobna głowica nagrywająca! Na szczęście znalazł jakąś sprawną głowicę odtwarzającą do tego typu sprzętu, więc nie było problemu. Udało mu się nawet zlikwidować to natrętne buczenie, spowodowane małym zwarcie przy wyjściu na głośnik. Naprawa zajęła mu jakąś godzinę. Przez ten czas stałem pod ścianą warsztatu z grubym plikiem euro w dłoni, a on popatrywał na mnie znad zarzuconego częściami i narzędziami blatu z wyrazem bezbrzeżnej pogardy i niesmaku. I coś tam mamrotał o tych cholernych cudzoziemcach. Z pokoju obok docierał do mnie zapach kurczaka po prowansalsku. Czuć go było przyprawą, a jakże! To najnowszy przebój mojej firmy.

W końcu wróciłem do siebie i przewinałem kawałek taśmy. Z głośnika dobiegło mnie to dziwne mlaszczące poszczekiwanie. Przeskakiwałem dalej próbując znaleźć miejsce, gdzie muzyka mych lat

młodzieńczych ustąpi pola wiadomości od Boba. Gdy znalazłem to miejsce, gdzie „You spin me round” urywało się w samym środku refrenu, postawiłem sprzęt koło włączonego komputera, włączyłem odtwarzanie i...

- Raosssxbbieyrte do bazy, odbiór.

Pauza.

Raosssxbbieyrte! To mój Bob! Faktycznie, w życiu bym tego nie wymówił...

- Baza do Raosssxbbieyrte, odbiór.

- Połączcie z dowódcą, odbiór.

- Łączność ustabilizowana. Czekaj.

Jasny gwint! Więc to nie dla mnie szczur zostawił tę wiadomość!

No tak, pomysł był raczej głupi. Niby dlaczego Bob miałby coś dla mnie nagrywać na przedpotopowym, z jego punktu widzenia, sprzęcie? O którym zresztą sam mu mówiłem, że jest niesprawny? Prędeż by mi nagrał wiadomość na kompie. Albo zapisał... jakoś.

Ale skąd w ogóle to nagranie? Rozstrojone radio mogło przypadkiem wyłapywać transmisje szcziroludzi, ale nagrywanie trzeba przecież włączyć!

- Raosssxbbieyrte, mamy dziwne odczyty, masz problem ze sprzętem?

- Uszkodzona antena. Musiałem użyć sprzętu obiektu. Przełączyłem antenę na mój, jest stara, ale pasuje.

- W porządku. Czekaj.

Musiał wejść na półkę i na grundiga. Może przypadkiem włączył nagrywanie, łażąc po magnetofonie?

- Raosssxbbieyrte! Co tak długo?! Melduj!

- Misja nieudana.

- Cooo? Ale... jak?

- Obiekt nie rozpowszechnił cichego uzdatniacza. Zostawił wiedzę dla siebie.

- To tłumaczy brak oznak.

- Dokładnie, dowódco. Obiekt sprzedaje żywność z dodatkiem uzdatniacza na dość ograniczonym obszarze, to jeden z ich organizmów terytorialnych. Sprawdziłem dane miejscowe, skutek jest.

Pauza. Pomyślałem, że skoro na ichnim statku już się dowiedzieli, usłyszę z taśmy solidny opierdół. Że Bob będzie się kajał, przepraszał. A tu - nic z tych rzeczy! Zaraz, zaraz, „uzdatniacz”...?

- A inne obiekty?

- Żaden z siedemnastu pozostałych nie był tak obiecujący jak ten. Wiedzieliśmy o tym. Tylko on zaszedł tak daleko.

- Czy są szanse, by skłonić obiekt do totalnego upowszechnienia uzdatniacza?
- Wydaje mi się, że jest temu niechętny.
- Zmusz go!
- To nic nie da, dowódco. Musi to zrobić dobrowolnie! Musi skorzystać ze swej popularności, inaczej to będzie zbyt długo trwało. Zwłoka będzie zbyt wielka.
- Więc go przekonaj.
- Próbuję. Ale nie wiem, czy nie jest za późno, dowódco. Działanie uzdatniacza jest niezauważalne, bo rozkłada się na długi czas, przecież właśnie dlatego zdecydowano się na metodę wygaszenia popędu seksualnego u osobników męskich.
- To tylko opóźnienie, Raosssxbbieyrte.
- Nawet jeśli się uda... Gdy przybędą nasze statki migracyjne, oni będą zbyt silni. Konfrontacja... frontalne starcie... mogą wygrać! Statki muszą wyruszyć o czasie, komety nie zatrzymamy...
- Spokojnie! Jeśli będzie trzeba, możemy przez dziesięć, dwadzieścia lat poudawać dobrych gości.
- Racja, dowódco.
- Zlikwiduj pozostałe obiekty, Raosssxbbieyrte. A potem wracaj do swojego i przekonaj go.
- Rozkaz.
- Łączność stabilna zakończona. Baza do Raosssxbbieyrte, bez odbioru.
- Raosssxbbieyrte do bazy. Bez odbioru.

I cisza. Tylko szpule obracają się bezgłośnie.

Koniec.

Nie będę nawijał makaronu. Że wpadłem w stupor, że mnie zatkało, że oniemiałem i nie mogłem wyjść z szoku. Nie będę, bo to oczywiste. A przy okazji jasny szlag mnie trafił i nagle krew zalała! Ależ mnie ten szczur chędożony wydymał!

Co robić? Co robić?!

Boba nie było trzy dni. Z czego przez dwa snułem się po mieszkaniu i na przemian piłem i rozmyślałem. W końcu wymyśliłem plan. I zrealizowałem go. W jeden dzień.

Pojawił się zaraz po zmierzchu. Akurat niedawno wróciłem z miasta i buszowałem po kuchni, robiąc kolację. Komputer był włączony, wystarczyło przejść parę kroków na kanapę w części wypoczynkowej.

- Cześć! Słuchaj stary, musimy porozmawiać! Pogadałem z chłopakami i...

Urwał widząc moją marsową minę. Bez słowa włączyłem grundiga i puściłem mu nagranie.

Muszę przyznać, że przyjął to spokojnie, skurczybyk. Wysłuchał, nie przerywając, do końca. Przez cały czas nie oderwał wzroku od magnetofonu, nie szczeknął żadnym słowem. Słuchał. W końcu spojrzał na mnie pytająco.

- Nic z tego nie będzie, Bob. Wypieprzajcie z powrotem, skąd przyszlście.

- Żeby wyginać ze szczętem? W naszą planetę uderzy kometa...

- Gównu mnie to obchodzi!

Dyszałem ze złości.

Mogli się zwyczajnie zjawić i powiedzieć, o co biega. Posunęlibyśmy się, Ziemia jest spora. Jakoś byśmy się przecież, kurwa, dogadali! Pieprzone gryzonie z manią wielkości!

- Znajdźcie sobie inną planetę.

- Ta jest najlepsza...

- Nie jest! Była. Powtarzam, wypieprzajcie w kosmos!

Bob pokiwał łepkiem powoli i nagle, błyskawicznym ruchem, wyciągnął jakiś przedmiot. Wycelował nim w grundiga i pół sekundy później magnetofon rozleciał się w fontannie iskier! A potem wziął na cel mnie.

- Zrobisz, co ci każemy.

- Nie!

- No to... - Bob podrapał się w zamyśleniu drugą łapką po pysku. - Zabiję cię. Zmontujemy w holo parę filmów. Ujawnisz ludzkości przyprawę... z za grobu.

I wtedy mu powiedziałem. O wszystkim. O kilkudziesięciu pakietach zawierających dokładną informację o poczynaniach szczuroludzi i moich, o działaniu przyprawy, o technologii produkcji, a także kopie nagrań oryginalnej rozmowy i jej tłumaczenia. O bankach, adwokatach i notariuszach, którzy mają to ujawnić, gdy im każę, gdy umrę lub... zniknę. I o kilku agencjach detektywistycznych, które mają mnie śledzić i błyskawicznie przekazać w odpowiednie miejsca informacje o mojej śmierci. Albo gdy przestanę się pokazywać.

- I zapomnijcie o udawaniu grzecznych gości. Ujawnię wszystko, gdy tylko się pojawicie.

- Nie wierzę.

- Zaryzykuj, szczurze!

- Zabiję twoją żonę - powiedział jeszcze, ale już niepewnie, bez wiary.

I słusznie.

- No to zabij od razu i mnie. Skutek będzie ten sam. Rządy dowiedzą się o was i przygotowują. W lotach kosmicznych może jesteście lepsi, ale w wojowaniu my - ludzie - jesteśmy całkiem mocni. Zetrzemy was na proch, cholerne liliputy!

Pokiwał tylko łebkiem, schował broń i ruszył do wyjścia. Gdzieś na dnie duszy telepały się we mnie

resztki żalu za najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem. Wiedziałem, że wszystko było oszustwem, a jednak... Sentymentalny się robię na starość.

- Bob. - Przystanął jeszcze koło okna. - Możecie zechcieć spróbować z kimś innym. To by zwiększyło wasze opóźnienie w planie, ale możecie zdecydować, że warto. Nie radzę. Będę śledzić wieści ze świata. Jeśli znajdę w nich kogoś... takiego jak ja, ujawnię wszystko.

Zniknął.

Nie okłamałem Boba. Grube koperty z dokumentacją czekały u dwudziestu siedmiu zaufanych ludzi. Staromodnych bankierów prowadzących małe, ale doskonale bezpieczne banki rodzinne dla bogatych snobów i arystokracji. Adwokatów i notariuszy starej daty, którzy wciąż wierzyli, że ich profesja to nie tylko prawny doradca, ale przede wszystkim bycie mężem zaufania. Za co, oczywiście, byli sownie wynagradzani. A wokół mego domu, na ulicy, w pracy i w podróży, w każdej chwili śledzili mnie pracownicy czterech różnych agencji detektywistycznych. Profesjoniści. Pewnie szybko się orientowali, że nie są jedyni. I opowiadali kolegom dowcipy o bogatym, pieprzonym paranoiku, który płaci za śledzenie siebie samego. A co mi tam, mam to gdzieś.

Nie chciałem być dłużej narzędziem w rękach kosmitów. Rzuciłem pracę w restauracji, wyznaczyłem likwidatora przedsiębiorstwa i wydałem dyspozycję co do sprzedaży majątku firmy. Po paru dniach zrobił się niezły rejwach, musiałem wziąć udział w konferencji prasowej i coś tam nałgać, jak to się zwykle robi, o wypaleniu, złym stanie zdrowia i przyczynach prywatnej natury. Pozbyłem się loftu i apartamentu. Zabrałem żonę i uciekłem do Polski.

Zapasy przyprawy zniszczyłem.

No dobra, zostawiłem sobie trochę do prywatnego użytku. Ale tylko troszeczkę.

Zdawało mi się wtedy, że spadnę na cztery łapy. Forsy miałem sporo, koszty utrzymania w rodzimym kraju o niebo mniejsze, bez wystawnego życia i splendoru. Nawet bez tej cholernej substancji byłem dobrym kucharzem, sławnym po francuskich wyczynach. Pracę dostałem szybko i jeszcze szybciej ją rzuciłem. Założyłem własną restaurację. Właściwie było pięknie.

Byłoby. Gdyby nie moja Gosieńka.

Zacząła sarkać jeszcze przed wyjazdem. W Polsce był to już nieustanny potok wymówek, ciągle wiercenie dziury w brzuchu. Awantury były coraz gorsze. Dlaczego? Po co? Było dobrze, przecież, tak? Jak śmiałem porzucić szczyt tak świetnej kariery? Szef kuchni w jednej z najlepszych restauracji Paryża, Francji, ba! W jednej z najlepszych na świecie! Jak mogłem zrezygnować z mieszkania w najcudowniejszym kraju? Obcowania na co dzień z tym cudownym językiem. Fantastyczna kultura, kulinaria, sztuka! Wakacje na Lazurowym Wybrzeżu, narty w Alpach. Jak mogłem wyjechać z najpiękniejszego miasta? Świat wyższych sfer. Nobilitowane osoby, gwiazdy filmu, domy mody, intelektualiści, politycy, sportowcy, dziennikarze, modelki, arystokraci. Jak mogłem wrócić do zapyziałego Wrocławia w nudnej Polsce? No jak?

Jak śmiałem zrobić to JEJ?

Frankofila była silniejsza od miłości. Rozwód był już sprawą przesądzoną. Żona wolała oskubać mnie na ile tylko się dało i wrócić do Francji. Co mogłem jej powiedzieć? Że mało brakowało, a zostałem grabarzem naszego gatunku? Próbowałem. Tłumaczyłem. Że potrzebuję spokoju, że czuję się wypalony, że ta praca i życie na wysokich obrotach mnie zmęczyło. Że tęsknię za krajem, językiem,

naszymi dawnymi przyjaciółmi. Że Francuzi to aroganckie snoby.

Nic nie podzialało. Nawet łzawe żale, że w tym życiu, które prowadziliśmy, czułem, że się od siebie oddalamy. Moja praca, jej praca, spotkania, imprezy, rauty – cały ten chłam. Że nie mieliśmy dla siebie czasu. Że nie tworzyliśmy rodziny, o jakiej kiedyś oboje marzyliśmy.

Gdzieś tak w połowie bolesnego rozvodu okazało się, że Francuzi potrafią mnie jednak pozytywnie zaskoczyć. Jakiś fan mojej kuchni rozpoczął na Facebooku akcję społeczną. Przyciągnął do niej olbrzymie masy rodaków, rejestrowali się tysiącami. Ich cel był jeden – przekonać mnie, bym nie zamykał firmy. Pomysły mieli rozmaite, wywierali naciski, przysyłali listy pocztą elektroniczną i tradycyjną. Zaczęli też przyjeżdżać do Wrocławia coraz częściej i dopadali mnie, gdzie tylko się dało. Wszystko, żeby przekonać. W końcu doszło do absurdu. Zaczęli zbierać pieniądze.

Toczący się powoli proces likwidacyjny firmy cieszył się we Francji dużym zainteresowaniem medialnym. Nie raz docierały do mnie odpryski dyskusji, wywiadów, artykułów prasowych, w których rozbierano na części moje decyzje, motywacje, sytuację zawodową i prywatną. Wymyślano najrozmaitsze powody, które miały mnie skłonić do zamknięcia interesu: problemy z urzędem skarbowym, francuskim sanepidem i (sic) kontrwywiadem, byłem śmiertelnie chory, zostałem buddystą i straciłem talent kulinarny. Nie powiem, żebym nie odczuwał pewnych obaw. Na szczęście kancelaria prawna, którą zatrudniłem do likwidacji firmy, trzymała język za zębami. Podobnie jak wszystkie osoby, u których zdeponowałem bezpieczne pakiety oraz agencje detektywistyczne, które bez ustanku mnie śledziły.

Aż w końcu wreszcie rozdrapano na szpaltach gazet moją sprawę rozwodową. I gruchnęło, że zamykam firmę, bo mam problemy finansowe, że żona mnie oskubie do cna i nie będę miał środków na dalszą działalność. Że potrzebuję kasy! I zaczęli ją zbierać. Facebook, strona internetowa, forum, listy, przelewy, głosy poparcia. Jak Francja długa i szeroka, miłośnicy moich dań bezinteresownie przekazywali najróżniejsze kwoty. Bylebym tylko nadal sprzedawał ich chleb powszedni.

Muszę przyznać, że nieco się otarli o prawdę. Moja żona nie była zainteresowana otrzymaniem udziału w jakimkolwiek interesie. Nie chciała współwłasności restauracji we Wrocławiu. Nie chciała też stałych alimentów czy spłat w przyszłości. Chciała grubej kasy tu i teraz. Potrzebowała jej, by nabyć mieszkanie w Paryżu i wykupić udział w agencji nieruchomości, w której dotychczas pracowała. Chciała być współwłaścicielem. Potrzebowała sporo. Więcej niż miałem odłożone. Nawet gdybym sprzedał dom pod Wrocławiem i moją nową restaurację. Musiałbym też oddać sporą część tego, co uzyskałbym z likwidacji firmy. Dla mnie zostałyby niewiele.

No więc... dałem się przekonać. Zebrane pieniądze pozwoliły mi na zakończenie rozvodu w sposób polubowny. Jako swój udział w majątku, żona zabrała pieniądze z oszczędności i sprzedaży domu oraz darowiznę od Francuzów. Nie musiałem sprzedawać knajpy. A pieniądze z firmy, gdyby wreszcie udało się sfinalizować sprzedaż, też byłyby tylko moje. Dałem się też przekonać z innego powodu. Wartość fabryki spadała nieubłagalnie. Bez mojego nazwiska wszystko stawało się coraz mniej warte. Tak naprawdę wróciłem do punktu wyjścia, człowiek zamożny, ale nie bogaty. Nie miałem już kasy na spokojną i dostatnią starość. Musiałem te pieniądze zebrać znowu. Zabezpieczyć przyszłość.

Nie powiem, gryzłem się z tym trochę. Wiedziałem, jak to działa. Ale podjąłem decyzję. Zabraliście mi, dranie, Gośkę, no to macie za swoje!

Wstrzymałem likwidację firmy, uruchomiłem na powrót produkcję przyprawy i zorganizowałem inaczej proces produkcyjny, uwzględniając konieczność przesyłania przyprawy z Polski.

A Francuzi mieli to, czego chcieli.

Szczury nie wróciły.

Całe lata czekałem. Może jednak? Może się zdecydują? Nie byli pewni, czy nas pokonają, ale przecież mogą spróbować. Technikę mają lepszą. Taka inwazja to nie w kij dmuchał, wielka wojna i olbrzymie ofiary. Nawet gdybyśmy wygrali, świat pewnie stanąłby na głowie i już nigdy nie wyglądał jak dotychczas. Wszystko by się zmieniło. Czekałem.

Ale nie wrócili.

Może nie mieli duszy wojowników? Może łatwiej im było znieść myśl, że wymordują... nie, usuną naszą cywilizację bardziej... humanitarnymi metodami? W każdym razie więcej się nie pojawili. A ja bałem się nie tylko ich, ale i moich pobratymców.

Bywało, że drżałem ze strachu na myśl, iż prawda o przyprawie wyjdzie na jaw. Że oni nie wrócą, ale ktoś coś wykopie, dojdzie do sedna i będę miał przerąbane. Próbowałem jak mogłem, ale jeśli niewystarczająco się zabezpieczyłem? Jeśli znajdzie się jakiś ślad moich machinacji? Jeśli komuś uda się zbadać właściwości tej substancji? Bałem się. Zwłaszcza gdy sobie popilem. Ale rzecz na zawsze pozostała moją tajemnicą.

I przyszedł czas, że przestałem się bać. Dzisiaj mogą wam o tym opowiedzieć. I tak nie uwierzycie. Nie ma już dowodów. Zamknąłem fabrykę, zniszczyłem dokumentację produkcyjną, nawet ostatni, prywatny zapas przyprawy poszedł do pieca. Nie ma już nagrań i listów zdeponowanych w bankach i u adwokatów. Nachapałem się, mam wystarczająco dużo kasy na spokojną emeryturę. Mogę wam powiedzieć i nic mi nie zrobicie. Nawet nie dacie wiary.

Wiem, co sobie myślicie. Niezła historia! Masz, chłopie, wyobraźnię! Kosmiczna inwazja, ha ha! Klasyka science-fiction po prostu. No, ubawiliśmy się setnie, dawaj następną. Tylko już bez kuchennych bzdur, bo drugi raz bajeru o pierogowym farszu z oregano nie łykniemy.

Mam rację?

No to odpowiedzcie mi łaskawie na jedno proste pytanie. Dlaczego prawie już nie ma białych Francuzów?

Nawiasem mówiąc, żal mi ich trochę. Przeżyłem w tym kraju parę lat, obracałem się wśród nich, w ich kulturze, w ich smaku życia. Dostałem obywatelstwo...

A co mi tam. Nigdy żabojadów nie lubiłem.